

Barba, Barbarka

Barbarka przykleiła nos do szyby i próbowała wzrokiem przebić ciemność za oknem. Gwiazdy mocno świeciły jak górnicze ogarki, ale podobnie jak tamtym ciemność wcale nie chciała ustąpić. Obok na ławie drzemała o rok młodsza Werka, a jej jasna główka raz za razem opadała na piersi.

- Kiedy łoni przyjdę? – zapytała Barbarka nie wiadomo który raz i westchnęła. Mama spojrzała na nią w roztargnieniu znad paleniska i na chwilę również zawiesiła wzrok na niewielkim kwadracie zimowej nocy. Ziąb szedł coraz większy jak to w styczniu. Kiedy łoni przyjdę?

Wreszcie usłyszały tętent kopyt, świst bata, głośne prr, a potem zaskrzypiał śnieg pod butami, z łoskotem rozwarły się drzwi i w sieni pokazali się opa, ojciec, ujek Franc, a za nimi August i Grzegorz. Rozgadani, podnieceni, wołali jeden przez drugiego:

- To teraz się dopiero wszystko ruszy!

- No ja, z takim maszynom domy rada.

- Ale wiele zeżre pieroństwo.

- Przy tym tyż pódzie zarobić!

Werka zerwała się ze swego miejsca i przecierała nieprzytomne oczy, a Barbarka skoczyła od okna i przylgnęła do ojcowego rękawa:

- Łojciec, godejcie, jak było?

- Zaroz, dziocha, zaroz – odganiał się jak od uprzykrzonej muchy. – Dej mi sie sebyc i dychnąć trocha. Matka, znojdzie się tam coś na rozgrzanie? – I wyciągnął nogi przed siebie. Barbarka ze śmiechem i głośnym sapaniem zaczęła ciągnąć najpierw prawy, potem lewy but – to był jej przywilej od najmłodszych lat, do którego nie dawała przystępu żadnemu z rodzeństwa.

Chłopaki rzuciły się jeszcze na plac oporzędzić konie, a opa i ujek ściągnęli kapoty i siedli za kuchennym stołem. Matka podała garniec piwa i trochę chleba.

- No, jak było? – zapytała wreszcie, kiedy Gustek i Grzegorz na powrót pojawili się w drzwiach. Barbarka przysiadła na zydlu i krążyła wzrokiem od twarzy do twarzy.

- Było jak było – zaczął sentencjonalnie opa – narodu kupa. Zoboczyli my wreszcie to cudo, ło kierym tyła my już słyszeli – i przerwał, aby zaczerpnąć spory łyk piwa.

- No i ? – niecierpliwiła się Barbarka, ale ucichła pod srogim spojrzeniem rodziców.

Opa podjął opowieść. Powoli, z namaszczeniem mówił o tym, jak to przyjechali na miejsce do Bobrownik, stanęli, chłopcy odprowadzili wóz na wskazane miejsce, oni przywitali się ze znajomkami, a każdy z uszanowaniem kłaniał się opie, bo przecież pamiętali go z dawnych lat, kiedy dużo znaczył w tarnogórskim górnictwie. Opa zaczął wymieniać po kolei, kogo to dostrzegł wśród obecnych, kto kim był kiedyś, jak to się ludzie zmienili:

- No i byli tyż ci najważniejsi – Heinitz i Reden. Co jak co, ale to łoni sprawili, że mamy co mamy – opa znów przerwał i sięgnął po garniec. Pił i pił, a kiedy odstawił trunek, spojrzał dookoła jakby chciał dać do zrozumienia, że powiedział już wszystko. Barbarka ukryła twarz w dłoniach, żeby powstrzymać wybuch irytacji. Czy ona się wreszcie dowie czegoś o maszynie ogniowej? Jak wygląda? Co robi? Co się czuje, kiedy człowiek na nią patrzy?

Jakby w odpowiedzi na ciekawość Barbarki ojciec przejął opowieść:

- Richtik jest na co patrzeć. Maszyna stoi we środku wielkiej chałupy – bo i sama jest wielko. Wyglondo trocha jak taki srogi gornek, pod kierym durch się poli.

- Gornek? – Werka wydeła usta pogardliwie.- My tyż mamy gorki.

- Dziocha, ale niy takie!- roześmiał się ojciec, a bracia też wybuchnęli śmiechem. – Łon by się nom do izby nie zmieścił. Łod tego gorka idzie wiyrchym wajcha do tłoka.

- Tumoka? – znów swoje trzy grosze wtrąciła Werka, a Barbarka, zła, że siostra ciągle przerywa, syknęła:

- Samaś tumok!

- Tłok – tu głos zabrał ujek – to wielki kawoł żelaza, co roz idzie na dół, roz na wierch i robi tak, że pompy woda z kopalni wyciongają. Rozumiycie?

Werka wzruszyła ramionami, a Barbarka starała się wywołać w głowie obraz tego, co opisywali mężczyźni, ale nie była pewna, czy to, co jej się roi, choć trochę odpowiada prawdzie.

- No, dość tego – matka podniosła się z ławy. – Werka, Barbarka – już nieskoro. Chopcy – wy tyż do łózek, rano trza wstować!

August i Grzegorz posłusznie wstali z miejsc, szurnęli nogami przed dorosłymi – i już ich nie było. Zatupotali na schodach, przeganiając ze śmiechem jeden drugiego. Dziewczynki dygnęły, ale Barbarka podbiegła jeszcze do opy, przymilając się, bo wiedziała, że staremu trudno jest jej czegoś odmówić:

- Opa, a pokożecie mi ta maszyna?

- Co takigo, Barbarko? - krzaczaste brwi opy uniosły się w zdziwieniu aż po bujną czuprynę.

- Barbarka – ojciec pogroził córce – ty dej się pozor, bo jak bydziesz tako ciekawsko, to ci jeszcze wasy wyrosnom.

Barbarka instynktownie pogłaskała gładką skórę pod nosem:

- A czymu?

- A odkąd to panny takimi rzeczami się interesujom? – matka wzięła się pod boki. – Patrzcie jom, maszyna ogniowo. Ale jak mo w piecu rozpolić, drzewa przynieś, to nigdy jej niy ma, szukęj, człowieku, wiatru w polu! Dziochy, niy ma wos, spać!

Nie było już o czym dyskutować. Barbarka westchnęła ciężko i poszła za siostrą do izby na pięterku.

Leżąc w łóżku, słyszała jeszcze rozmowy i śmiechy dorosłych, potem opa i ujek się pożegnali, a po chwili cały dom ogarnęła spokojna, styczniowa noc. Barbarka przewracała się z boku na bok, ale sen jakoś nie chciał przyjść. Czemu to tak jest, myślała, że Gustek i Grzegorz mogli maszynę zobaczyć, a ona nie? Nie jest już dzieckiem, ma dwanaście lat i tylko dwa lata dzielą ją od Gustka. Werki też nie wzięli, ale Werce wcale nie chciałoby się ruszać z ciepłej izby, a maszyna ogniowa tyle ją obchodzi, co zeszłoroczny śnieg. Maszyna ogniowa... Już te dwa słowa budziły w Barbarce dziwne uczucia, coś między lękiem a radosnym podnieceniem. Powiedzieć o niej, że przypomina kuchenny sagan, to na pewno za mało, ale z ojcem tak zawsze – wszystko, co tajemnicze, nieznanne w jego opowieściach stawało się zwyczajne i proste. Barbarka wołała więc sama wyobrażać sobie, że pałac hrabiego Donnersmarcka wcale nie przypomina paradnej komody stojącej w izbie, a jego powóz nie ma nic wspólnego z wiklinowym koszem na pranie. Podobnie teraz – maszyna ogniowa to nie żaden gornek, ale... żelazny smok pokryty łuskami, ziejący ogniem, jak ten, z którym walczył Święty Jerzy w książce omy o żywotach świętych. Pożera mnóstwo węgla, który furmanki dowożą jedna za drugą, a smokowi nigdy dość. A potem pije wodę, pije, pije i w kopalni jest jej coraz mniej i mniej, a dzięki temu górnicy mogą drążyć korytarze. Kiedy smok już za dużo wody wypije, to pluje nią, rzyga prosto do rzeki, a rzeką kopalniana woda płynie aż do morza. Barbarka leżała na plecach i patrzyła w ciemność, zastanawiając się nad

ludzką mądrością, która takiego smoka stworzyła i zmusiła, aby służył człowiekowi. Zobaczyć maszynę. Barbarka usiadła z impetem na łóżku:

- Musza jom widzieć! – wyszeptwała z mocą. Opadła z powrotem na pościel i w momencie, uspokojona tym postanowieniem, zasnęła. We śnie zobaczyła szeroką łąkę zalaną słonecznym światłem, do której zbliżała się jakaś czarna chmura. Barbarka, siedząc na łące pośród żółtych jaskrów, zastanawiała się, czy to może nadciąga burza. Czerń rosła coraz bardziej, a w niej Barbarka zaczęła dostrzegać jakiś kształt. Przystłoniła oczy, bo blask słońca przeszkadzał rozróżnić szczegóły i wtedy zauważyła w czarnym tumanie ojca - wielkiego jak dom, który niósł w obydwu dłoniach ogromny, dymiący gar. Kiedy był już o krok od Barbarki, postawił sagan pośród kwitnących kwiatów. Wtedy czarny tuman zniknął, sagan zaczął się mienić, błyszczeć, a w jego wypukłej, podobnej do złotego lustra powierzchni Barbarka zobaczyła odbicie swojej pełnej zachwyty twarzy. Podeszła bliżej i przytuliła policzek do ciepłego naczynia, w którym usłyszała przyjemne bulgotanie. Roześmiała się, z czułością pogłaskała jego pękaty brzuch. Pod dłonią poczuła, że powoli wypełzają z niego chropowate łuski podobne do ostrych, płaskich kamieni. Uniosła głowę. Nad sobą zobaczyła wielki, smoczy łeb. Odskoczyła przerażona, ale oczu nie mogła oderwać od smoka, który - wprawdzie groźny - był jednak niezwykle piękny i pociągający.

- To ino mara - pomyślała Barbarka i obudziła się. Wokół panowała jeszcze zupełna ciemność, ale usłyszała krzątanie na dole, więc wyskoczyła z pościeli, ubrała się pospiesznie i zbiegła do kuchni.

Gustek i Grzegorz właśnie się zbierali, aby ruszyć do roboty. Już miesiąc przed oficjalnym uruchomieniem maszyny najęli się, jak wielu młodych, do wożenia węgla aż z Zabrze, bo maszyna każdego dnia dużo go potrzebowała. Rzeczywiście żarła jak smok.

Mama, która krzątała się przy śniadaniu dla chłopaków, zerknęła na Barbarkę podejrzliwie.

- A ty tu po co?

- Tak ino, chciałam chopców pożegnać.

- Hmm, to aby się na co przydej. Popakuj im sznity do tasze.

Barbarka zaczęła posłusznie pakować przygotowane przez matkę kromki chleba do skórzanej sakwy. Kiedy bracia ruszyli w stronę drzwi, Barbarka narzuciła pospiesznie kożuszek i wdziała wysokie buty.

- Ty kaj?- huknęła na nią mama.

- A... drzewa przyniesia- wyjaśniła dziewczyna naprędce i już jej nie było.

Na podwórzu chłopaki zaprzęgali konie do fury. Barbarka przyglądała im się przez chwilę. Przed starszym Grzegorzem czuła respekt, więc gdy tylko się oddalił, aby otworzyć bramę, podeszła nieśmiało do Augusta, z którym jeszcze całkiem niedawno spędzała sporo czasu, zwłaszcza przy jego ukochanych gołębiach. Pociągnęła go za rękaw i wyszeptwała:

- Gustek, weźcie mnie kiedy ze sobom.

- Co? Kaj?

- No, do kopalni.

- Do kopalni? Do Zabrze?

- Niy, tu, do naszyj.

- Siostra- Gustek spojrział na nią troskliwie – tyś zgupła?

- Jo jom chca widzieć, ta maszyna. Gustek...- spojrzała na brata błagalnie, ale August wzruszył ramionami, wskoczył na kozioł i fura powoli potoczyła się w stronę otwartej bramy.

Barbarka zacisnęła usta, w oczach błysnęły łzy żalu. Czemu niby nie? Czemu, że zgupła? Czy ona gorsza, żeby tylko siedzieć w domu i zajmować się nudną, gospodarską robotą? W drzwiach obory pojawił się ojciec z wiadrem udojonego mleka, ale ubrany w sztygarską kapotę.

- Niy stój na zimnie, pódź do kuchni - kiwnął na córkę, więc Barbarka posłusznie wsunęła się za nim do sieni.

Za chwilę siedziała przy kuchennym stole i siorpała ciepłe od krowiego ciała mleko. Ojciec zbierał się powoli. Był sztygarem na kopalni, znał się na tej robocie jak mało kto. Przez wszystkie lata, kiedy tarnogórskie górnictwo właściwie umarło, nie poprzestał praktykowania fachu. Pojechał nawet do dalekiej Saksonii, na czym niemało skorzystał i gdy tylko dobiegła go wieść, że na nowo zaczynają się poszukiwania kruszcu w okolicach Tarnowskich Gór, czym prędzej wrócił, a tu przyjęli go z otwartymi ramionami, zwłaszcza że pochodził z rodziny z dziada pradziada związanej z górnictwem. A jak ktoś raz fach mocno pokocha, to już na zawsze w nim pozostanie.

Usłyszeli turkot i na plac wjechał wóz ujka Franca. Ojciec pożegnał się z matką i Barbarką, pokiwał Werce, która zaspana stała na schodach prowadzących na piętro, i już go nie było. Dzień potoczył się jak zwykle. Trzeba było oporządzić gadzinę, polecieć do Kaśki – najstarszej siostry, żeby jej pomóc przy bliźniakach, bo Kaśka znów spodziewała się dziecka i coraz trudniej było jej sobie poradzić z dwuletnimi smykami. Potem wrócić do domu, pomóc mamie i Werce w gospodarstwie, przygotować wieczerzę i czekać, aż bracia i ojciec wrócą po robocie. Barbarka krzątała się jak co dzień, ale nie potrafiła oderwać się od upartej myśli, że musi być tak, jak sobie postanowiła. Musi zobaczyć maszynę. Tylko jak tego dokonać?

Mijały kolejne dni, minęła zima.

Każdego dnia Barbarka łowiła uchem nowe wieści z kopalni – że maszyna się sprawdza, że pracuje coraz lepiej, że jest dla kopalni Fryderyk prawdziwym błogosławieństwem, że jej sława rozchodzi się po całym świecie i do Tarnowskich Gór ciągle przyjeżdżają jakieś wysoko postawione osoby, bo koniecznie chcą ją zobaczyć. Każda taka wiadomość budziła w niej radość i rozżalenie równocześnie. Utwierdzała się w przekonaniu, że owa maszyna jest niezwykłym wynalazkiem, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego mogą ją oglądać ci, którzy w tym celu odbywają daleką podróż, a ona – mieszkająca niemal po sąsiedzku - zobaczyć jej nie może.

- Pójdiesz do Kaśki – poleciała pewnego dnia matka – i łostaniesz tam kilka dni. Na nią już niydugo przyjdzie czas, trza dować pozor. Jak by się coś zaczęło, polecisz po Marcinowo. Rozumiysz?

- Rozumia. Dobrze, mamó! - ostatnie słowa wykrzyknęła, nie mogąc stłumić radości. Przecież to może być wyjątkowa okazja, żeby niepostrzeżenie wymknąć się spod rodzicielskiej kurateli i spełnić marzenie. W głowie poczęła układać plan. Wiedziała, że musi go zachować tylko dla siebie, na żadne zrozumienie ze strony Kaśki nie mogła liczyć. Ta zawsze była posłuszna, rozsądna, pracowita i oddana swemu powołaniu. Nie zrozumiałaby, czego ta Barbarka chce i co jej się roi w młodej głowie.

Najpierw trzeba trochę posznupać w skrzyni stojącej na wierchu, a co się znajdzie, schować sprytnie przed maminym okiem. Potem pożegnać się wylewnie, pochylić głowę, żeby mama mogła na Barbarkowym czole nakreślić znak krzyża. I można ruszać przed siebie. Do zagrody Kasi i Józka był spory kawałek, mieszkali po drugiej stronie od tarnogórskiego Rynku, w kierunku zupełnie przeciwnym do drogi prowadzącej ku kopalni. Trzeba było minąć kościół św. Anny, przejść obok kościoła farnego, dalej przeskoczyć po kocich łbach na

wydeptany plac, gdzie cztery razy do roku odbywały się gwarne jarmarki. Stamtąd już blisko do Józków.

Jednak od celu, o którym myślała Barbarka, coraz dalej i dalej. Kiedy tylko minęła rodzinną zagrodę i była pewna, że matka ani Werka już jej zobaczyć nie mogą, skręciła w lewo, tam, skąd każdego wieczoru wracali bracia, wracał ojciec. Serce waliło jej z niepokoju. Wiedziała, że tego, co robi, nikt by w rodzinie nie poparł, nawet opa, ale nie mogła inaczej: coś ją ciągnęło ku temu, aby spełnić marzenie, aby urealnić sny, nawet jeśli miałyby się narazić na niebezpieczeństwo. Przystanęła pod rozłożystą lipą, opadła na kolana, zamknęła oczy, chcąc przywołać w głowie obraz swojej patronki, Świętej Barbary. Bardzo ją kochała i podziwiała za wytrwałość, odwagę, wierność sobie samej mimo mąk, których doświadczyła z rąk własnego ojca. Tu Barbarka zadrżała, jeszcze mocniej ścisnęła powieki, złożyła dłonie i półgłosem zmówiła modlitwę ważną nie tylko dla niej, ale też dla Bractwa Świętej Barbary, zatem i dla opy, i dla ojca, i dla szwagra, a pewnie i dla całych Tarnowskich Gór: „O, przechwalebna Panno i Męczenniczko Chrystusowa, Barbaro Święta. Ja, niegodny sługa Twój, oddaję się dziś Tobie i ofiaruję za sługę i niewolnika wiecznego, prosząc Cię: racz się opiekować mną, osobliwie w godzinę śmierci...” Tu Barbarka przerwała, bo przecież nie szykowała się na śmierć, ale na pomoc i opiekę mężnej i upartej patronki bardzo liczyła, więc tylko powtórzyła kilka razy: „Racz się opiekować mną, Barbaro Święta, racz się opiekować mną”. Poczowała, że teraz będzie łatwiej, że wszystko się uda. Ruszyła rażno przed siebie, mijając łany szumiącej oziminy, kępy krzewów, drzewa, w cieniu których piaszczysta droga zamieniała się w grząskie błoto kolein. Z radością dziecka zanurzała w miękkość bose stopy, a potem wycierała o jasnozielone, przydrożne trawy. Wreszcie gdzieś na lewo od drogi zauważyła wysoki słup dymu. To tam! To tam mieszka smok ognisty! Barbarka przystanęła. Poczowała drżenie nóg i rąk, ucisk w gardle i nagły ból brzucha. Znienacka ogarnął ją lęk. Co ona sobie wyobrażała? Że maszyna ogniowa czeka na nią, na Barbarkę, sama jedna? Przecież wszędzie będą się kręcić ludzie i zanim Barbarka cokolwiek zobaczy, już ją wyrzucą, zagrodzą przejście, nawrzeszczą, pobiją może? „Racz się opiekować mną...” Zdjęła z ramion tłumoczek, który zabrała z domu. Wyjęła garniec masła i gomółkę sera – mamine prezenty dla Kaśki. Sięgnęła głębiej. Wyrzuciła na drogę koszulinę Augusta i Grzegorzowe spodnie. Rozejrzała się trwożliwie na boki. Była sama, ale wołała wejść głębiej w gęste zarośla. Szybko sukienkę zamieniła na koszulę i zaczęła wciągać spodnie. Były za długie i za szerokie, ale znalazła na to sposób. Podwinęła nogawki, w pasie zawiązała konopny sznurek. Jeszcze włosy. Pot spływał jej po czole, to i włosów zrobiło się jakby mniej. Wecisnęła je pod ojcową czapkę, którą fater zakładał zwykle do kościoła. Innej w domu nie było. Codzienną ojciec nałożył rano, idąc do roboty, bracia mieli po jednej. Została ta paradna. E, nic jej nie będzie, do niedzieli daleko.

W męskim stroju poczuła się o wiele lepiej i pewniej. Roześmiała się. Jak brzmiałoby jej imię, gdyby była chłopcem? Barbar? Barbarz? Barborz jak Grzegorz?

- A kaj to, kawalerze?

Za plecami usłyszała wołanie. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała koński pysk, lejce i gospodarza na furmance. Spoglądał na nią uważnie spod szmacianego kapelusza.

- Tu, niydaleko, do kopalni – starała się, żeby jej głos brzmiał spokojnie i naturalnie.

- Do kopalni? To siadej, tyż tam jada, moga cie wziońć, ino to bydzie kosztowało.

- To już póda piechty.

- Niy muszom być piyniondze. Co tam mosz w tym tumoczku?

- Wszystko potrzebuja, nic wom niy moga dać! – podniosła głos bardziej niż chciała.

- Coś ty taki hardy? - Chłop zeskoczył z wozu i wyciągnął rękę w stronę zawiniątka. Barbarka rzuciła się do ucieczki, lecz chłop tak łatwo nie dał za wygraną.

- A możeś ty jaki złodziej? - wrzeszczał, biegnąc za nią i dysząc z wysiłku. Dziewczyna skręciła z drogi w stronę lasu. Biegła między drzewami, słysząc jeszcze przez jakiś czas sapanie gospodarza. Raz i drugi czapka omal nie spadła jej z głowy, więc starała się ją przytrzymać, bo zguby ojciec by jej nie darował. Potem sapanie ucichło, chłop pewnie stracił siły i został gdzieś z tyłu. Odwróciła się, znów była sama, ale bała się wrócić na drogę. Przedzierała się przez wysokie paprocie, krzewy jeżyn i malin. Pokrzywy dotkliwie parzyły łydki, a stopy raniły wystające korzenie, kamienie, zdrewniałe jagodziska, zeszlóroczne szyszki i igliwie. „Święta Barbaro, ratuj”. Wreszcie zobaczyła, że las rzednie, słońce coraz mocniej przebijało się przez gałęzie drzew i po chwili Barbarka znalazła się na otwartej przestrzeni. W oddali zobaczyła hałdy ziemi, drewniane umocnienia, rozległe zabudowania, nad którymi unosiła się burosina chmura dymu. Znów poczuła strach i onieśmienie. Usiadła na kępie trawy, zdjęła czapkę i przetarła spocone czoło. Na rękawie koszuli dostrzegła czerwoną smugę. Pewnie gdzieś zraniła ją gałąź, nawet nie poczuła bólu. Założyła ponownie czapkę aż po uszy i dokładnie upchnęła pod nią włosy. Zanim ruszyła dalej, poprawiła koszulę, ponownie przewięzała spodnie sznurkiem. Sprawdziła tłumok – nic nie zgubiła. To dobrze.

Szła brzegiem lasu aż do drogi w nadziei, że nie spotka już namolnego woźnicy. Zresztą po jakimś czasie doszła do miejsca, w którym krzyżowały się różne szlaki, koleiny zachodziły jedna na drugą. Pojawiły się wozy, na szczęście nikt jej nie zaczepiał. Furmanki jedna za drugą mijały ją obojętnie – jedne puste, inne wyładowane węglem. Czasami bryłka spadała na drogę, lecz zaraz zjawiał się jakiś wyrostek, który czarną od węgla ręką ładował grudę do kosza przytroczonego do pasa. Barbarka zerkąła na wszystko z ciekawością, jednocześnie starając się, aby nikt nie miał potrzeby na niej zatrzymywać wzroku. Ludzi było coraz więcej. Cieszyła się teraz ogromnie, że osłania ją męski przyodziewek, pewnie wygląda na chłoptasia szukającego przy kopalni zarobku. A takich tu też było sporo. Barbarka przystanęła i spojrzała przed siebie na murowane, solidne budynki. Dobięło ją głośnie, miarowe dudnienie jakby coś ogromnego raz po raz wznosiło się i opadało. W oddali widziała sznur furmanek wyładowanych węglem, ustawionych w długiej kolejce przed potężną, czerwoną bramą. Przed nią stał jakiś niemalże pałac umorusany aż po czarne okna znajdujące się wysoko w górze. To stamtąd dobiegał huk i łomot. Barbarka zadarła głowę i zobaczyła tuman dymu unoszący się nad spiczastym dachem owego pałacu. Pewnie tu mieszka maszyna ogniowa, ten smok kolczasty, co to taki nienażarty, że ciągle trzeba mu do pyska węgiel ładować. Uświadomiła sobie nagle, że jest tak blisko, o krok. Tyle razy wyobrażała sobie chwilę, w której stoi przed cudem żelaznym i przygląda się, jak ten chłepce kopalnianą wodę, a tymczasem teraz poczuła odrętwienie, paraliżującą niepewność. Co ona tu właściwie robi? Czy nie powinna być daleko stąd, przy Kaśce i jej dzieciach? A jeśli na siostrę właśnie przyszedł czas, a obok nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc? Barbarka przymknęła oczy, starając się uspokoić dudniące serce. Dudni maszyna, dudni serce. Z Kaśką na pewno wszystko dobrze, Barbarka zaraz do niej pójdzie, zaraz, ale taka chwila jak ta może się już nigdy nie trafić. Tylko spojrz, sprawdzi, czy maszyna to smok czy wielki sagan, o którym mówił ojciec. Ruszyła przed siebie, zaciskając pięści, aby dodać sobie odwagi.

- A toż to przeca moja myca! - usłyszała za sobą znajomy głos i poczuła gwałtowne szarpnięcie. Niesfornie włosy rozsypały się na ramionach, przykleiły do mokrej od potu twarzy. Odwróciła się przerażona, bo przecież wiedziała, do kogo ów głos należy.

Ojciec w jednej ręce trzymał swoją niedzielną czapkę, a drugą zamierzał się na złodzieja, co mu ją skradł, ale gdy rozpoznał, kogo ma przed sobą, zamarł z ręką uniesioną do zadania ciosu. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie i niedowierzanie. Twarz mu poczerwieniała, a w oczach pojawiły się groźne błyski.

- Co ty tu robisz? Jak ty wyglądasz? - wysyczał przez zaciśnięte zęby. Rozejrzał się na boki. Nie chciał, aby ktokolwiek był świadkiem jego wstydu.

- Tatu! - wyszeptała błagalnie Barbarka, ale ojciec chwycił ją mocno za ramię.

- Do domu - nakazał krótko i szarpnął córkę, żeby poszła za nim. Barbarka wyrwała się z bolesnego ucisku i odskoczyła na bezpieczną odległość. To jeszcze bardziej go zdumiało.

- Tatu! - tym razem jej głos zabrzmiał głośno i donośnie. - Zaraz się stąd straca, ale teraz musza łoboczyć maszyna.

- Do domu - ojciec nie miał zamiaru ustępować. W głowie mu się nie chciało pomieścić, że naprawdę stoi przed nim jego własna córka, ukochana Barbarka, umorusana, spocona, w koszuli i galotach! Jak to możliwe? Do czego to doszło? W oczach dziewczyny zobaczył jakiś nowy blask, nieznany upór. Podniosła wysoko głowę i śmiało spojrzała ojcu w oczy.

- Moja patronka to Święta Barbara. Łona też niy miała leko i dużo musiała wycierpieć łod swojego łojca. - Tu Barbarka na myśl o cierpieniach świętej poczuła ucisk w gardle, a oczy wypełniły się łzami. - Zamurował jom w wieży, a potym ścioł jij gowa mieczym i...- ukryła twarz w dłoniach i zaczęła rozpaczliwie szlochać.

W miarę jak Barbarka przypominała losy męczennicy, z twarzy ojca gniew powoli zniknął, a w jego miejsce pojawiło się wyraźne rozbawienie, wreszcie wybuchnął głośnym śmiechem. Barbarka zerknęła nań trochę urażona, ale z nadzieją, że może kara za jej wykroczenie nie będzie nazbyt surowa. Ojciec podszedł do córki i wcisnął jej czapkę na głowę.

- Skryj włosy - szepnął dziewczynie do ucha - bo zaraz się wszyscy zlecom, żeby łobejrzyć to dziwowisko.

Barbarka posłusznie wepchnęła włosy pod czapkę.

- Gowy ci niy utna - rzekł ojciec, przywracając powagę na swoje oblicze - ale trza by cie zamurować, co byś wiedziała, kaj twoje miejsce.

- Ino nojpiyrw pokożcie mi... maszyna - Barbarka pociągnęła nosem i złożyła ręce jak do modlitwy.

- Uparty z ciebie gizard - ojciec pokręcił głową. - Toż idymy.

Poszedł przodem, nie oglądając się za siebie. Mijając różnych ludzi, przykładając palce do czapki, pozdrawiał to tego, to owego. Barbarka starała się trzymać jak najbliżej swojego przewodnika, żeby się w tłumie nie zagubić. Nie poszli na wprost, gdzie widoczna była główna brama, ale skręcili w prawo i stanęli się przed niewielkimi, drewnianymi drzwiami. Huk wydobywający się z wnętrza narastał. Ojciec nacisnął klamkę i po chwili znaleźli się w mrocznym, dusznym pomieszczeniu, w którym unosił się pomieszany zapach łożu, węgla, szmat, słomy i czegoś jeszcze, czego Barbarka nie potrafiła rozpoznać. Na wargach poczuła dziwny smak. Wokół huczało potężnie i poza tym hukiem niczego więcej nie można było usłyszeć. Wyszli z ciemnego kąta na dość dużą przestrzeń wysypaną drobinkami węgla. Ściany były wysokie, wysokie, więc zadarła głowę i wtedy ją zobaczyła. Zamarła z wrażenia, po omacku poszukała ramienia ojca. Ten spojrzał na córkę i ze zdumieniem dostrzegł, jak bardzo się zmieniła w tej jednej chwili. Twarz pokryła się buraczanym rumieńcem, oczy rozwarły się szeroko, a po wystających spod czapki kosmykach włosów spływały krople potu. Dziewczyna wstrzymała oddech i bezwiednie otworzyła usta. Prawą ręką kurczowo trzymała

ojca za koszulę, a lewą położyła na sercu. Istotnie, Barbarka doznała ogromnego wzruszenia. Patrzyła na to dziwo, o którym myślała jako o smoku żarłocznym, a który ojciec przyrównał do kuchennego gara. Tymczasem ujrzała przed sobą błyszczącą, ciemnorudą kopułę jak zwieńczenie wspaniałego kościoła zdobione złotymi guzami. Z owej kopuły wyrastała wysoka, srebrzysta wieża i to z niej dobiegało syczenie, szuranie, bulgotanie, a potem nagły łomot powtarzany raz po raz. Dudni maszyna, dudni serce. Jeszcze wyżej unosiło się długie, groźne ramię, którego końca Barbarka nie mogła dojrzeć, bo wychodziło gdzieś poza ścianę budynku, jakby chciało porwać tę wieżę i unieść ze sobą w świat. „Wieża Świnytyj Barbary” - pomyślała Barbarka i uśmiechnęła się. Poczuła w sobie nagłą moc, odwagę, chciało się jej tańczyć i śpiewać z radości. Zwróciła twarz w stronę ojca i spotkała jego zdumione spojrzenie. Roześmiała się, a potem przyłgnęła do fatra całą sobą, objęła mocno i wybuchnęła płaczem.

- Moga jom potrzymać? - Barbarka pochyliła się nad łóżkiem Kaśki i podniosła drobne ciało noworodka. - Jakie bydzie miała miano?

- Anna – Kaśka patrzyła z niepokojem na córeczkę, czy aby Barbarka dobrze ją trzyma, czy nie upuści. - Świnynto Anna jest patronkom naszego kościoła, to moja cera tyż weźnie w opiekę.

- Anna, Anulka – Barbarka uśmiechnęła się do dziecka i pocałowała w nosek, a potem oddała niespokojnej matce.

Kaśka przejęła zawiniątko i przytuliła.

- Dziynkuj ci, żeś niy straciła gowy i poleciała po Marcinowo. Przy trzecim dziecku wszystko idzie bardzo wartko. O, kaj som chopcy? Tak cicho w chałpie – ponownie ogarnął ją lęk.

- Ida łobejrzyć – Barbarka też zdała sobie sprawę, że nie słyszy malców. Wyszła przed dom i zaraz ich ujrzała. Lojzik i Antek z szeroko otwartymi buziami patrzyli, jak ich ojciec wyciąga wodę ze studni. Była to ciężka robota, zwłaszcza że woda gdzieś uciekała i coraz głębiej trzeba było sięgać do lustra. Józek postawił stągiew na klepisku, otarł pot z czoła i z uśmiechem przyjrzał się widowni:

- Co chopcy? Pomożecie łojcu?

Lojzik i Antoś podeszli do wiadra i zaczęli ciągnąć z całych sił. Józek pogłaskał ich po płowych główkach:

- Piyknie, bardzo dobrze, jo tyż chyca i we trzech domy tymu rada – Józek mrugnął do Barbarki, chwycił za wiadro, a malcy bardzo zaaferowani trzymali z obu stron.

- Matka, przyniysli my woda! - zawołał, wchodząc do kuchni.

- My tyż, my tyż! - cieszyli się chłopcy i podbiegli do Kaśki.

Barbarka usiadła na stołeczku, oparła łokcie na kolanach i popadła w zadumę.

- Szwagierka, co tak myślisz? - zaczął ją Józek. - Jeszcze myśliwym łostaniesz.

Dziewczyna ocknęła się i poczerwieniała:

- A bo to tak myśla... Patrzcie, maszyna parowo...

- Ta zaś ło tyj maszynie! - wykrzyknęła Kaśka. - Mało ci, że matka i łojciec cie durś strofujom? Przestoń. Dziołchom nic do tego!

- Ale – Barbarka nie dawała za wygraną – jak tako maszyna mo z kopalni woda wyciongać, to pojakimyu niy miałyby ciongoń tyj wody ze studni?

Kaśka i Józek spojrzeli na siebie i pokręcili głowami.

- Kaj tako maszyna by nom się na placu zmieściła? - ostudził jej zapał Józek.- Wiysz, jako łona jest wielko?

„ Wiym”- pomyślała Barbarka. To była tajemnica jej i ojca. Tamtego dnia wsiedli razem na furmankę i ojciec zawiózł Barbarkę aż do Józków. Po drodze nie odezwał się do niej ani słowem. Barbarka wolałaby już, żeby na nią nakrzyczał, żeby jej robił wyrzuty o to, że zamiast zatroszczyć się o Kaśkę, myślała tylko o sobie i swoich pragnieniach, żeby ją nawet uderzył, bo milczenie było o wiele trudniejsze do zniesienia. Między sobą a córką ojciec postawił mur, przez który nic nie mogło przeniknąć.

Kaśkę bardzo ucieszyły mamine prezenty, które jakimś cudem Barbarce udało się dowieźć do siostry bez uszczerbku. Nie zwróciła też uwagi na to, że Barbarka miała być wczesnym rankiem, a nie na przedwieczarz. Potem wszystko potoczyło się gładko. Przez tydzień Barbarka opiekowała się maluchami, bo Józek od rana do wieczora zajęty był w kuźni, aż na Kaśkę przysłyły takie bóle, że Barbarka, zamknawszy wcześniej Lojzika i Antka w kurniku razem z pisklętami, nad którymi mieli czuwać do powrotu ciotki, pognąła po akuszerkę.

I tak na świecie pojawiła się mała Anna.

- Pamiyntej, Barbarka – usłyszała łagodny głos siostry – nom niy przystoi smykać się kajś, to przynoleży chopom. Ty mosz być nojpiyrw posłusznom córkom, a potym dobrom żonom i matkom. Tyla.

- No ja – zgodziła się Barbarka. Wiedziała, że przed Kaśką nie może otworzyć ani serca, ani myśli.

Przed wieczorem usłyszeli parskanie ojcowej Siwuli i pod chałupę Józków zjechali wszyscy: matka, ojciec, Werka, Gustek i Grzegorz. Chłopaki wpadli do chałupy pierwsi, ale Józek położył palec na wargach. Zrozumieli, stanęli cicho pod ścianą, w sam czas, żeby przytrzymać nadbiegającą Werkę. Weszli matka i ojciec. Barbarka na ich widok poczuła, że policzki jej płoną – trochę ze wstydu, ale bardziej z narastającego napięcia, które nie pozwoliło jej przyjąć pokornej postawy. Nie chciała być tylko ułożona i posłuszna, chciała czegoś więcej, może wolności.

- Dobrze, że tu siedzisz – szepnęła jej Werka wprost do ucha. - Teraz jo zezuwom ojcu szczewiki.

Barbarka poczuła lekkie ukłucie w sercu. Już nie jest ukochaną córeczką tatula. Nie ma rady, tak się musiało stać.

Tymczasem goście otoczyli wianuszkciem łóżko Kaśki i z czułością przyglądali się nowo narodzonej dziewczuszce.

- Biedno Anula – dobiegł ich głos Barbarki. Rodzice odwrócili się w jej stronę. Na twarzy matki zobaczyła zdziwienie, na twarzy ojca – przygnębienie i powagę.

- Pojakiymu biedno? - nie rozumiała mama. - Dziołszka zdrowo, dorodno, mlyko Kaśka mo.

- Lepij by jiy było, jakby się urodziła synkiem. Synkom lepij na tym świecie.

- Mosz prawie! - zawołał wesoło August, ale na to ojciec trzasnął go w ucho i bez słowa wyszedł z izby.

Potem tak to już było, że Barbarka często się zamyślała, a to przy praniu, a to przy gotowaniu kaszy, przy zadawaniu gadzinie czy dojeniu krowy. Tyle jej było wolno, choć i za to zbierała czasem od matki kuksańce. O maszynie ogniowej nie wspominała ani nie pytała o nowiny z kopalni. Tamten pamiętny dzień pozostał tajemnicą między nią a ojcem, ale ów

wspólny sekret nie łączył ich, a dzielił, stał się murem, wieżą, w której Barbarka powoli umierała.

